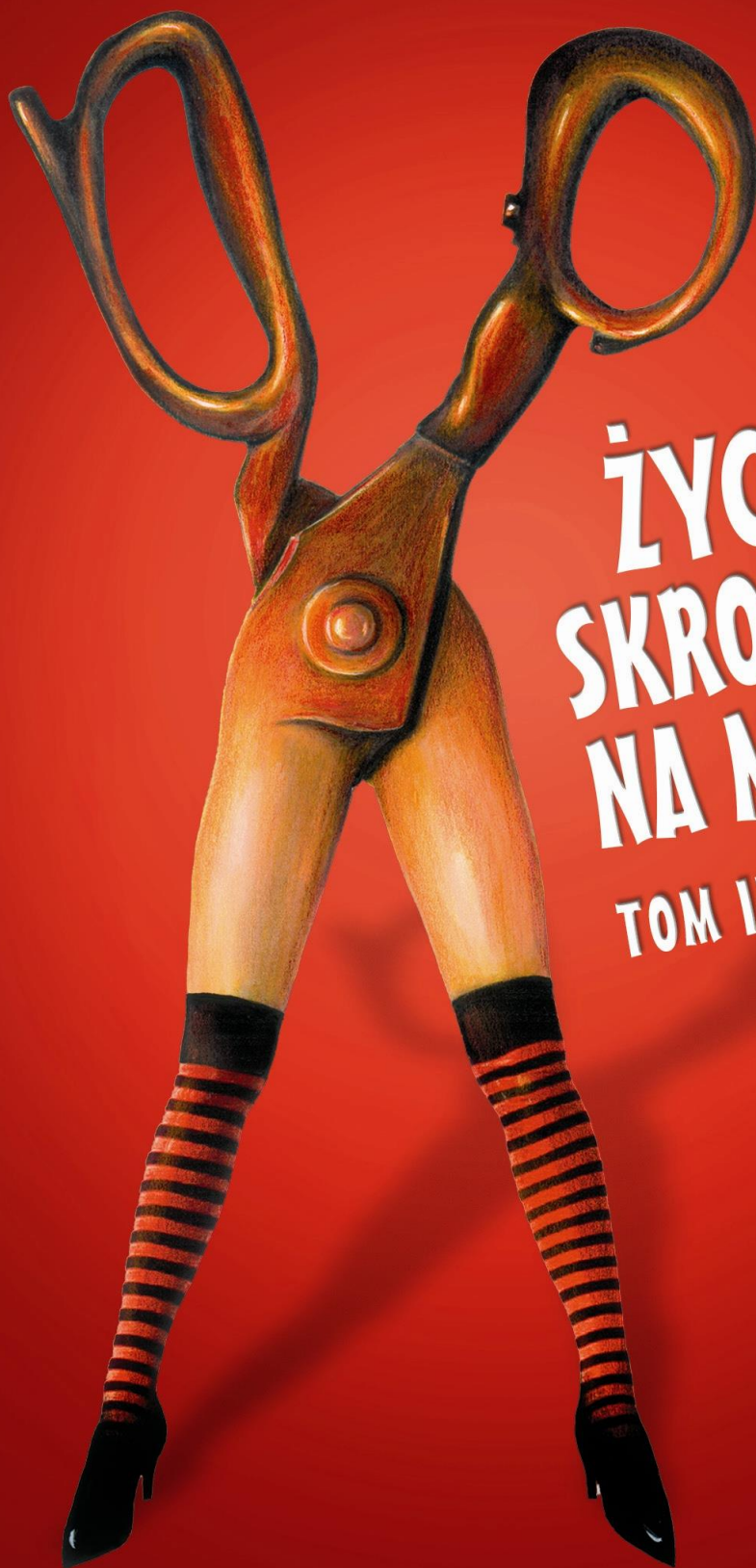


JANUSZ „KRAWIEC” WIŚNIEWSKI



**ŻYCIE
SKROJONE
NA MIARĘ**

TOM II

S. KITOWSKI

Janusz „Krawiec” Wiśniewski

ŻYCIE SKROJONE NA MIARĘ. TOM 2

(MISTRZ)

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

Wydanie II (e-book)

Copyright © Janusz „Krawiec” Wiśniewski

Autor okładki: Sławomir Kitowski

Redakcja: Ewa Rojewska–Olejarczuk, Grażyna Nawrocka

ISBN: 978-83-66719-33-0

Spis treści

[OD WYDAWCY](#)
[PROLOG](#)

[SEPSA](#)

NARODZINY
PAMIĘTNIK
JAK W ŻYCIU
POLITYK I POETA
PROSPERITY
KAMIZELKA
JEST WOLNOŚĆ CZY NIE?
GÓRA Z GÓRĄ
IWONA
IZA
ZDJĘCIE
ODEJŚCIE
ROBERT
ADA
GARNITUR
W SZPONACH
STOLICA
TRUDZIA
TELEWIZJA
PIERWSZA KOMUNIA
ŻYD
ZAZDROŚĆ
PRZYSZŁA KRYSKA NA MATYSKA
AFRYKA DZIKA
DOTKNAĆ STEVENA SEAGALA
PO LATACH
SZPITAL
CIOTKA
CHINY
MROWISKO
INACZEJ
KONTROLA
UBIÓR
REMINISCENCJA
CIEPŁO – ZIMNO
GALA
AFERA WE FRAKU
PRZYJAŹŃ
U PREMIERA
FRUWAŁEM
HAMLET W STOCZNI
WESELE
DŻENTELMENI
WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

ROCZNICA
RORATY
STRES

OD WYDAWCY

Piotr, bohater tej książki przeszedł wszystkie szczeble zawodowej kariery w dziedzinie krawiectwa: od czeladnika, terminującego w pracowni stryja, do mistrza i przedsiębiorcy, właściciela dużego zakładu krawieckiego, w którym szyje ubrania prezydentom, premierom, artystom, biznesmenom. Jest to nie tylko świetnie opowiedziana historia o zawodowych (krawieckich) ambicjach, klęskach i sukcesach ale także opowieść o życiu rodzinnym i towarzyskim, o uczuciach, o miłosnych podbojach, o marzeniach, o życiu w ogóle. To prawdziwa krawiecka epopeja odmalowana na tle intensywnych przemian politycznych, społecznych i obyczajowych naszego kraju. To „opowiedziana nożycami” historia, prowadząca nas przez zmieniające się mody i kroje garniturów, tkanin, dodatków krawieckich.

Akcja tej w dużej mierze autobiograficznej powieści rozpoczyna się od lat 40-tych XX wieku, czyli od wczesnego dzieciństwa autora, a kończy pod koniec wieku XX. Książka ta ma szczerą i prawdziwą autentyczność. Jej siłą jest też szczegółowe odtworzenie realiów dotyczących czasów, które opisuje, a także obfitość wziętych z życia historii i anegdot.

Istotnym elementem tej książki są klimaty związane z modą (głównie męską). Na jej kartach autor niejednokrotnie opisuje ubiór jej bohaterów fachowo go komentując. Zapoznajemy się w ten sposób z wieloma ciekawymi i użytecznymi informacjami dotyczącymi właściwego, dobranego do okoliczności i cech danej osoby stroju.

Ze względu na dużą objętość powieść „Życie skrojone na miarę” podzielona jest na dwie części: Tom 1. (podtytuł „krawiotka”) i Tom 2. (podtytuł „mistrz”). Tom 3. zatytułowany „Życie od podszewki” jest swoistym post-scriptum do dwóch wcześniejszych tomów.

PROLOG

Zmierzchało. Jechaliśmy drogą prowadzącą z Warszawy do Augustowa. Szosą pełną tirów, samochodów osobowych i ciężarowych. Aut wiozących na odpoczynek, do domów, ludzi znużonych całym dniem pracy. Byliśmy w drodze od świtu. Najpierw przemierzaliśmy drogę z Gdyni do Warszawy. Później, w niemiłosiernie zatłoczonej stolicy, jeździliśmy od banku do ministerstwa, żeby spotkać się z naszymi klientami i zrobić przymiarki. Lecz najważniejsze było jeszcze przed nami.

Trudy mijającego dnia dawały mi się we znaki, mimo że tylne siedzenie hondy accord miałem tylko dla siebie. Kręciłem się. W końcu podłożyłem sobie pod głowę grubą puchową kurtkę, która zastąpiła mi poduszkę.

– Daleko jeszcze? – spytałem zniecierpliwiony.

– Już jesteśmy w Jankowie Dolnym – odpowiedział Łukasz. – Za chwilę będziemy na miejscu.

Łukasz to mój syn. Mimo iż patrzył na boki, by nie przegapić gospodarstwa premiera, prowadził sprawnie. Obok niego siedział Paweł. Od niedawna nasz pracownik. Razem mieli poprowadzić filię w Warszawie. Obaj młodzi, niespełna trzydziestoletni, i mniej zmęczeni niż ja, chociaż ja tylko drzemałem na tylnym siedzeniu, a oni zmieniali się za kierownicą.

Gospodarstwa premiera nie szukaliśmy długo. Odróżniało się od innych artystycznie kutym, metalowym płotem i bogato zdobioną, otwartą na oścież bramą. Dom także był bardziej okazały niż inne. Nowo wybudowany i zadbane. Podwórko przypominało bardziej wjazd do dornku letniskowego niż wiejskie obejście. Trawniki oraz starannie dobrane i wypielęgnowane krzewy okalały dom niczym oaza.

Z próbkami materiałów, książką miar, szpiłkami i centymetrem w starej brązowej teczce wszedłem po wyłożonych kafelkami schodach do domu premierostwa. Teczka w podobnych wypadkach służyła mi od lat i miałem w niej solidne wewnętrzne oparcie. Była moim talizmanem. Mam ją nadał i nadał dziełnie się spisuje.

Pan premier przewodził partii ludowej, która wraz z partią lewicową tworzyła rząd większościowy. Jak przystało na chłopskiego przywódcę i wiceszefa rządu, wybierał się właśnie wraz z małżonką po błogosławieństwo do Rzymu. Po błogosławieństwo do samego papieża. Naszym zadaniem było ubranie premierostwa na tę okazję. Uszyliśmy parę garniturów dla premiera. Teraz kolej na małżonkę.

Już na schodach zza zamkniętych drzwi wejściowych usłyszeliśmy płacz. Łukasz nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi otworzyła nam kobieta z dzieckiem na rękach. Miała ładną twarz okoloną ciemnymi, trochę rozwichrzonymi włosami. Jej piwne, lekko zmęczone oczy mówiły o troskach mijającego powszedniego dnia. Nigdy wcześniej nie widziałem pani premierowej, nawet w telewizji. Zaskoczyła mnie więc jej filigranowa figurka i naturalna zręczność, z jaką radziła sobie z płaczącym, chyba rocznym dzieckiem. Pozostała trójka dzieci otaczała ją, przypatrując się z ciekawością obcym w domu. Pani premierowa zaprosiła nas do środka. Weszliśmy przez wyłożony glazurą hol do dużego szklanego salonu z widokiem na ogród. Czekala tu na nas niespodzianka.

W salonie powitała nas nasza dobra znajoma Bianka – wizażystka i kreatorka mody. To dzięki niej trafiliśmy pod strzechę premierostwa. To ona nas poleciła. Oprócz Bianki brylowało w salonie jeszcze dwóch mężczyzn. Pierwszym był jej kierowca, pomocnik i przyjaciel w jednej osobie. Drugim – sławny projektant, kreator, krawiec, artysta, designer i jak tam jeszcze można nazwać człowieka zajmującego się szyciem odzieży dla pań – sam Sobol Owidiusz. Chudy, z rzadkimi kępkami zarostu na nieogolonej brodzie. Ubrany w coś nieokreślonego. Ni to wdzianko, ni to koszula w jaskrawe, geometryczne, czerwono-czarne wzory. Obcisłe, wąskie spodnie w kolorze dojrzałych pomarańczy sięgały kostek i nie zasłaniały świetnie widocznych butów na wysokich koturnach. „Tak chyba wyglądał za

młodu Don Kichot” – pomyślałem, patrząc na niego i witając się po kolei ze wszystkimi. W salonie w artystycznym nieładzie leżały koszule, krawaty, skarpety. Zapewne ekwipunek pana premiera.

Ekipa speców, kreatorów i wizażystów przygotowywała premierostwa do rzymskiej pielgrzymki. My przybyliśmy tutaj tylko po to, by wziąć wymiary i uszyć dla pani premierowej kostium. Jak się – niestety – okazało, zarówno pod dyktando Blanki wizażystki, jej młodszego doradcy i przyjaciela, jak i kreatora – „Don Kichota za młodu”. Już przy wyborze koloru każdy z doradców forsował inny pogląd i miał inne zdanie. A cóż dopiero działo się przy braniu miary, ustaleniu fasonu i kroju kostiumu. A to długość spódnicy nie taka, a to długość żakietu nieodpowiednia. Biedna pani premierowa miała do powiedzenia najmniej. Również ja nie mogłem się przebić z moimi propozycjami. Każdą długość spódnicy czy kostiumu, zaproponowaną przeze mnie, natychmiast kwestionowała Bianka. Z nią nie zgadzał się kreator Owidiusz. Jego poprawiał przyjaciel i doradca Blanki. Patrząc na to, co się działo, delikatnie wycofałem się z zamieszania. Miałem już zapisane filigranowe wymiary pani premierowej. Resztą mogłem się zająć w trakcie krojenia.

Pani premierowa zaproponowała kawę. Grzecznie podziękowaliśmy, tłumacząc się długą drogą powrotną. Miałem dosyć niepotrzebnego zgiełku. Żał mi było żony premiera, obskakiwanej z przesadną gorliwością przez nadwornych konsultantów. Pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

– I jak poszło? – zapytał siedzący za kierownicą Paweł.

– Co ja tu robię? – odpowiedziałem po części na pytanie Pawła, a trochę do siebie, i zabrałem się do przygotowania na tylnym siedzeniu miejsca do spania.

– Bez Blanki byśmy tu nie trafili, więc musisz to jakoś przeżyć – skomentował Łukasz.

Wcisnąłem kurtkę pod głowę i próbowałem zasnąć. Jeszcze długo słyszałem rozmowę Łukasza i Pawła. Paweł opowiadał o swojej poprzedniej pracy. O nieuczciwościach, z jakimi spotykał się ze strony byłego pracodawcy. Wyprzedzaliśmy, hamowaliśmy, dodawaliśmy gazu, a ja miotalem się na tylnym siedzeniu auta jak worek kartofli. W końcu, mimo niewygód, zmorzył mnie sen.

– Ale chrapałeś – powiedział Łukasz, kiedy przebudzony próbowałem rozprostować kości. Dojeżdżaliśmy do Gdańska.

SEPSA

Zadzwoiła moja mama. Definitywnie wyrzuciła Wincentego z domu. Została sama. Tereska wyjechała do Włoch. Latem ufundowałem jej dwutygodniowy pobyt w Jugosławii – tam poznała Włocha. Miłość od pierwszego wejrzenia, zaowocowała przyjazdami Ettore – na motorze – do Słupska, a w końcu wyjazdem Tereski do Genui. Zapowiadało się weselisko.

– Co słyhać? Jak żyjecie? Czemu się nie pokazujesz? Tak dawno nie widziałam Łukasza!

Pojechaliśmy więc w odwiedziny do mamy. Od miesiąca mieliśmy swój samochód. Czekaliśmy na niego prawie rok, wpłacając systematycznie raty.

Nasz beżowy fiat 125p pędził więc drogą powrotną ze Słupska. Byliśmy tam tylko jeden dzień. Wika źle się poczuła. Rozboliła ją całe podbrzusze. Wracaliśmy późnym wieczorem. Wika prowadziła. Nie miałem prawa jazdy. Dopiero zacząłem chodzić na kurs. Siedziałem z Łukaszem na tylnym siedzeniu. Próbowałem go uspić. Patrzyłem jednak na twarz Wiki w lusterku. Skrzywiona z bólu.

– Boli... Nie mogę prowadzić – prawie jęcząc, Wika skręciła na pobocze. Samochód stanął.

– Co ci jest? Co się dzieje? – otworzyłem drzwi samochodu od jej strony. Wika przechyliła się bezwładnie razem z otwieranymi drzwiami.

– Wika! Wika! Boże, co się dzieje? Co mam robić?

Deszcz, popędzany wiatrem, zaciął po naszych twarzach, otrzeźwił na moment Wikę. Przeniosłem ją na tylne siedzenie i ułożyłem obok śpiącego Łukasza.

– Boh, bardzo boli – jęczała.

Mijały nas rozpędzone samochody. Bezskutecznie próbowałem zatrzymać jakiś. Wszystkie pojechały dalej. Siadłem więc za kierownicą. Na kursie miałem dwie szkolne jazdy. Sprzęgło wciśnij, wrzuc jedynekę, puszczaj powoli sprzęgło. W kangurzych podskokach ruszyliśmy bez włączonego kierunkowskazu. Pędząca ciężarówka huknęła klaksonem. Jedziemy, teraz dwójka... jedziemy. Teraz trójka... Trzymałem się bardzo blisko pobocza. Mijały nas wszystkie samochody. Twarz miałem wlepioną w szybę. Nie wiedziałem, jak włączyć wycieraczki.

– Jezu, nic nie widać – szeptałem do siebie wystraszony.

Na liczniku pięćdziesiątka. Słyszałem jęki Wiki.

– Wika, żyjesz? Odezwij się! Gdzie są wycieraczki?! Odezwij się!

– Przekręć prawą ręką... – zabrzmiał obolały głos Wiki.

Dobrze, że Łukasz spał. Znowu odważyłem się spojrzeć na licznik – siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Silnik rozpaczliwie prosił o zmianę na czwarty bieg. Nie odważyłem się. Piłowałem na trójce, dodając gazu. Wejherowo. Jeszcze przeszło dwadzieścia kilometrów do Gdyni.

– Wika, mów coś, błagam!

– Boli – szeptała, nawet nie płakała.

Zawsze ryczała o byle co – było niedobrze! Trzeba jechać od razu do szpitala.

– Nie, do domu, do domu. – Ostatnie jej słowa prawie do mnie nie dotarły.

– Wika! Wika! – Nie odzywała się więcej.

Dojechaliśmy do stacji benzynowej. Stanąłem pokracznie, zajmując dwa pasy. Pobiegnę do okienka.

– Zadzwońcie po pogotowie, mam umierającą żonę! – krzyczałem opętańczo. – Dzwoncie, dzwoncie!

Wika leżała już drugi dzień na ginekologii w gdyńskim szpitalu. Nie mogłem jej odwiedzić – leżała na aseptyce. Do tej pory nie odzyskała przytomności. Było źle. Ordynator był na mnie wściekły.

– Mówiłem, że macie uważać! Mówiłem, żadnych stosunków! – krzyczał na mnie, wstając zza swojego biurka.

– Panie doktorze, przysięgam, nie dotknąłem żony.

– Do cholery, to skąd takie silne zakażenie?! Sepsa! Sepsa! W nocy była w stanie śmierci klinicznej!

– Sepsa, sepsa – powtórzyłem. – Co to jest?

I nagle zobaczyłem ją w białym prześcieradle – śmierć. Boże! Wika umrze. Nie, nie! Boże, błagam, pozwól jej żyć! Mateńko Najświętsza, zlituj się, nie pozwól jej umrzeć!

Wróciłem do domu. Teściowie zabrali Łukasza do siebie. Było po północy, a ja nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Chodziłem po pokoju, to znowu klęczałem przed zawieszonym nad drzwiami krzyżem. Może powinienem być w szpitalu? Ale niedawno mnie stamtąd wyrzucili. Boże, co robić? Szukałem w pamięci nazwisk znajomych lekarzy, moich klientów. Przewracałem kartki brudnopisu z telefonami. Zegar wybił jedno uderzenie. Pierwsza. Za późno, żeby dzwonić. Rzuciłem się na tapczan, nie zdejmując ubrania. Zasnąłem.

Wika po miesiącu wyszła z tego jak kotka ze spalonego domu. Błada, wychudzona, z podkrążonymi oczami, ale była z nami. Łukasz tulił się do niej, a ja głaskałem ją po rękę, po sinym śladzie po wenflonie. Znowu byliśmy wszyscy razem, będzie dobrze. Jeszcze przez miesiąc nie poszła do pracy. Przez cały czas była w domu, z Łukaszem, ze mną. Pomagała mi w szyciu, jedliśmy razem obiady, kolacje, oglądaliśmy telewizję. Będzie dobrze, dobrze...

Finalizowała się powoli sprawa lokalu na Świętojańskiej. Czułem, że wygram z panią prezydent. Dostałem pozytywną decyzję komisji lokalowej Miejskiej Rady Narodowej. „Tylko zrobić remont i się wprowadzać”. Tydzień później już tak nie myślałem... Znowu dostałem pismo od pani prezydent, uchylające pozytywną dla mnie decyzję. Znowu trzeba się odwołać.

Łukasz poszedł do przedszkola. Wika do pracy. Gospośia zajęła się domem. Miałem więcej czasu na szycie. Chyba właśnie w tym czasie moje krawiectwo naprawdę było moje. Tworzyłem nowe fasony płaszczy. Poszukiwałem ciekawych rozwiązań w konstrukcji i technologii wykonania. Klientki odbierały piękne reglany, szerokie kimona, wcięte górą redingoty [dwurzędowy płaszcz wizytowy o wojskowym kroju]. Cieszyłem się z piękna, które tworzyłem. Klientów miałem tylu, że nie wszystkich mogłem obsłużyć. Podobno warto było wjechać na siódme piętro do Kowalskiego.

W tym czasie siostra Wiki znalazła nowego narzeczonego. Francuz, wykładający na politechnice swój język. Poznali się na obozie. Ryszarda się zakochała, chyba zaokrąglił się jej brzusek. Będzie wesele. Uszyłem Francuzowi smoking i dwa garnitury. W podzięcie przywiózł mi z Paryża duże, prawdziwe krawieckie nożyce do krojenia, lśniące od stalowej jakości. Mam je do dzisiaj, mimo że od tamtego czasu minęło przeszło trzydzieści lat. Są ciągle świetne. Alain Caro to wspomniały facet. Bardzo szybko uczył się polskiego. Rozumieliśmy się świetnie, chyba polubiliśmy się. Razem uczyliśmy się gry w tenisa, razem jeździliśmy w wolnych chwilach poza miasto. Podziwialiśmy uroki jezior i lasów Szwajcarii Kaszubskiej. To on wyszukiwał piękne wąwozy, polanki, wzgórze, stawy i jeziora. To on uczył nas lirycznego spojrzenia na polską jesień.

Wkrótce zrobiłem prawo jazdy. Ścigaliśmy się więc po krętych leśnych szosach. My w fiacie 125p, on w srebrnym „garbusie”. Było fajnie. Wika chyba zaraziła się od swojej siostry, bo też nie zapinały się jej spodnie w pasie, niedawno jeszcze za luźne. Alan był częstym gościem w domu teściów. Ci stawali na głowie, żeby mu się przypodobać. Alain to dobra partia! To nie krawiotka. Szybko minął czas do wesela. Urodziły się dzieci. U nich chłopiec, u nas dziewczynka. Mam córkę!

(koniec bezpłatnego fragmentu)